



Satelita Niemiec

Lukasz Warzecha

W wizji Sikorskiego pozostaje nam trzymać się germańskiej tuniki i liczyć na germańskie pieniądze - twierdzi publicysta

„Współczesna Polska jest najlepszą, jaką mieliśmy” - oznajmił Radosław Sikorski, wygłaszając kilka dni temu w Sejmie swoje exposé. Nie był to jedyny w wystąpieniu szefa MSZ ukłon w stronę rządowej propagandy. W innym miejscu szef MSZ przytaczał tytuły zachodniej prasy, wychwalające przewodnictwo Polski w UE - jakby mogło to być miarodajne kryterium oceny polskiej polityki zagranicznej.

„Euroceptykami” nazywał - jak można wywnioskować z kontekstu - wszystkich nie dość zachwyconych uprawianą przez niego polityką. Chwalił się tym, ile razy przedstawiciele MSZ zastępowali na różnych spotkaniach Catherine Ashton, czyli osobę, której znaczenie w kształtowaniu unijnej strategii jest zerowe. Wspominał, że według Biura Budżetowego NATO to Polska najbardziej zwiększyła wydatki na obronność - tyle że w ciągu 20 lat. Gdyby wziąć perspektywę 150 letnią, wyszłoby pewnie jeszcze lepiej.

Komentując wybór Joachima Gaucka na prezydenta RFN, powiedział Sikorski: „Kraju mającego za prezydent tak szlachetną postać naprawdę nie musimy się bać”. Stwierdzenie kompletnie pozbawione sensu, bo cóż to znaczy „bać się”? Sikorskiego i jego krytyków nie różni jakiś strach wobec Niemiec, ale ocena stosunku sił, zakresu wspólnych interesów i racji stanu obu państw. Zaś prezydent, jak Sikorski doskonale wie, to w niemieckich warunkach postać niemalże bez znaczenia.

Mówiąc o Rosji, ani słowem nie wspomniał Sikorski o zastrzeżeniach, dotyczących wyborów parlamentarnych, a następnie prezydenckich. Ograniczył się do wyrażenia nadziei, że „nowy prezydent Rosji nada swemu krajowi impuls modernizacyjny, zgodnie z oczekiwaniami społeczeństwa”. To uderzające zwłaszcza wobec fali niedawnych protestów, które dla Sikorskiego nie mają najwyraźniej znaczenia. Zdawkowe odniesienie się do sytuacji w Rosji było być może najbardziej charakterystycznym fragmentem szczegółowej, pierwszej części exposé, pokazującym wyraźnie kierunek i priorytety polityki zagranicznej rządu Tuska.

Z kolei najbardziej zabawne było stwierdzenie - choć jest to śmiech bardzo gorzki ? że „usilnie zabiegamy o zwrot naszej własności, wraku samolotu tu-154, w którym zginęli nasi przywódcy i przyjaciele”.

Jednak od szczegółowej części wystąpienia ważniejsza była jego druga połowa, w której Radosław Sikorski rozważał dwa pojęcia: suwerenności i federacyjności. Zamiar był czytelny: zdefiniować zgodnie z potrzebami własnej polityki dwa kluczowe słowa w debacie opozycji z koalicją. Przy okazji jednak dostaliśmy dość kompletny wykład sposobu widzenia sytuacji Polski w Unii przez Platformę i samego Sikorskiego. Jest z czym polemizować.

Żonglowanie pojęciami

Najpierw minister spraw zagranicznych pochyła się nad pojęciem suwerenności i tłumaczy, konfrontując własne spojrzenie z klasyczną definicją Jeana Bodina: „A więc suwerenność dzisiaj to coś bardziej subtelnego niż

wyłączność władzy politycznej. Jest to poczucie, że na żadnym etapie wzmocnienia współpracy międzynarodowej nie tracimy podmiotowej zdolności do podejmowania korzystnych bądź błędnych decyzji. Innymi słowy, tak, jak to rozumieli nasi przodkowie, nic o nas nie decyduje się bez nas. Kluczowe jest, czy danym regułom poddaliśmy się dobrowolnie oraz czy w ostateczności moglibyśmy się z nich wycofać. Oba te warunki spełnia proces integracji europejskiej”.

Faktycznie - Sikorski ma rację, że podręcznikowe pojęcie suwerenności jest dzisiaj zbyt wąskie, aby ostrzegać przed jej utratą. W istocie - znów zgoda z ministrem - nie ma dziś państw całkowicie suwerennych, może poza wyizolowanymi autarkiami. Tyle że to żonglowanie pojęciami, tak aby rozmyć faktyczne zarzuty wobec polityki, jaką uprawia PO.

Kluczowe bowiem powinno być nie pojęcie suwerenności, ale podmiotowości (jak zaproponował trafnie Dariusz Gawin w eseju „Przekleństwo 1709 roku”, opublikowanym w „Teologii Politycznej”). Jeżeli zastanowimy się nad podmiotowością, a nie podręcznikowo pojmowaną suwerennością, zrozumiemy, że zachowanie formalnych wymogów zredefiniowanej suwerenności, o czym mówi Sikorski, niczego nie wyjaśnia ani nie rozwiązuje. Można być bowiem formalnie suwerennym w znaczeniu, jakie proponuje Sikorski i z którym godzi się współczesna nauka o stosunkach międzynarodowych, a zarazem być państwem grającym dużo poniżej swoich możliwości i potencjału. I cóż z tego, że ta gra odbywa się za zgodą wyborców i jest prowadzona przez wybrany demokratycznie rząd? Czy samo to ma powodować, że takiej polityki nie powinno się krytykować? A to zdaje się mówić Sikorski.

Bardziej przedmiot

Co zatem oznacza pojęcie podmiotowości? Zacząć trzeba od oddzielenia sfery realnych interesów oraz mechanizmów władzy ponadpaństwowej od sfery utadzonej retoryki instytucji europejskich. Sikorski, który uważa się za realistę, chętnie ucieka w ten drugi świat, ponieważ to pozwala mu nie odpowiadać na pytania o podmiotowość Polski. Tymczasem ten drugi świat jest światem fikcji, gdzie jako realne osiągnięcia można przedstawiać tytuły w zagranicznej prasie albo to, że zastępowało się Catherine Ashton.

W świecie realnych interesów tymczasem toczy się twarda gra, zamaskowana wspólnotowymi mechanizmami. Tyle że wpływ na te mechanizmy nie jest równy. Jedni mogą zatem w większym stopniu kształtować otoczenie, w jakim następnie funkcjonują, inni w mniejszym. I to właśnie opisuje pojęcie podmiotowości. To ona odpowiada na pytanie, czy jesteśmy bardziej podmiotem czy przedmiotem gry. Przy czym chodzi nie o wpływ formalny, ale rzeczywisty.

Sikorski, zastanawiając się nad pojęciem federalizmu, przemycza między wierszami swoją wizję i propozycję miejsca Polski. Jest to wizja raczej przedmiotu niż podmiotu gry.

Przedstawiając optymalną według siebie drogę rozwoju UE - ku „trwałej unii politycznej” - Sikorski sięga po klasyczny środek erystyczny. Powołując się na Juliusza Mieroszewskiego i jego rozważania o naturze federacyjności, pomija całkowicie fakt, że Mieroszewski pisał swój tekst w innych okolicznościach i bez wiedzy o tym, jaki kształt przybiera dzisiaj Unia Europejska. Podobny walor mają odwołania do historii unii polsko-litewskiej - tworzą tak różnego od jakiegokolwiek wariantu „unii politycznej” w ramach UE, że porównania są tu kompletnie nietrafione. Zresztą same korzyści z istnienia unii polsko-litewskiej też bywają kwestionowane, by

wspomnieć tylko Pawła Jasienicę, co być może powinno być Sikorskiemu bliskie. Wszak w 2009 r. zdefiniował się jako przeciwnik „polityki jagiellońskiej”, skąd zatem nagle odwołania do unii obu państw?

Sikorski sugeruje: skoro motorem Unii ? o czym wspomina w exposé wprost - są Niemcy, to przywiążmy Polskę trwale do Niemiec. Miałby to być swego rodzaju układ handlowy. Berlin zobowiązałby się uwzględniać w pewnym stopniu nasze interesy ? jednak tylko te najbardziej podstawowe. Wolno bowiem domniemywać, że nie mieściłyby się w tej kategorii ani sprawy w rodzaju Nordstreamu, ani kwestie równego traktowania pomocy publicznej w ramach polityki unijnej. W zamian Polska zobowiązałaby się do wspierania Niemiec we wszystkich ważniejszych kwestiach, do nieforsowania własnego interesu tam, gdzie może być sprzeczny z żywotnym interesem Berlina oraz do rezygnacji z budowy własnego obozu politycznego wewnątrz wspólnoty.

Immanentna słabość

Zwłaszcza ta ostatnia kwestia jest kluczowa dla zrozumienia istoty polityki, proponowanej przez Sikorskiego. W jego wizji nie ma miejsca na tworzenie autonomicznej pozycji Warszawy wobec innych znaczących sił Europy. Bez wyraźnej odpowiedzi pozostaje pytanie, dlaczego Sikorski nie widzi takiej potrzeby lub możliwości. I zapewne jej nie będzie, bo aby mogła paść, szef MSZ musiałby otwarcie zdefiniować swój cel, a to raczej nie wchodzi w grę. Sygnał jest jednak jednoznaczny.

Można, a nawet trzeba uznać taką politykę za jeden z uprawnionych wariantów. Być może u jego fundamentów leży przekonanie o immanentnej słabości polskiego państwa i przeświadczenie, że w tej sytuacji pozostaje nam trzymać się germańskiej tuniki i liczyć na germańskie pieniądze, wkładane do wspólnego budżetu. Jest to jednak polityka w dłuższym okresie bardzo ryzykowna. Mogłaby się sprawdzić w przypadku kraju o potencjale Słowenii, Słowacji, Holandii, lecz na pewno nie Polski. Jeżeli państwo o takim potencjale jak Polska świadomie rezygnuje z jego wykorzystania - czyli deklaruje, że nie będzie się starało go niejako „wypełnić” poprzez stworzenie po temu odpowiednich warunków i narzędzi - to wstępuje na drogę samoograniczenia. Takie samoograniczenie jest zawsze chętnie wykorzystywane i wspomagane przez wszystkich, którzy mają w tym interes. Im większa różnica pomiędzy potencjałem państwa a realizowaną przez nie polityką - tym większą dynamikę ma proces degradacji. Polska w naturalny sposób ? poprzez swoje położenie, zasoby, liczbę ludności - jest punktem ciężkości Europy Środkowej. W wizji Sikorskiego mamy się stać satelitą Niemiec w ramach „unii politycznej”. Owa „unia polityczna” musiałaby bowiem - co pośrednio wynika także z exposé szefa MSZ - być skonstruowana przede wszystkim pod dyktando najsilniejszego swojego członka.

W ostatnich słowach swojego wystąpienia apelował Sikorski o chłodną ocenę polskiego potencjału i możliwości oddziaływania. Wygląda na to, że sam się do tej rady nie stosuje, bo zamiast szacować oba te czynniki realistycznie i chłodno, ocenia je minimalistycznie i zgodnie ze z góry przyjętymi założeniami. Założeniami - dodajmy - bardzo groźnymi z punktu widzenia strategicznej pozycji naszego państwa.

Autor jest publicystą dziennika "Fakt" Publikacja RZECZPOSPOLITA